Nr. 46. Warszawa, dnia 6 (18) Listopada 1874 r. Rok X. SERYJA 3-a.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZECZOM SPOŁECZNYM LITERATURZE SZTUKOM PIĘKNYM POŚWIĘCONE.

CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

W Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.	
rocznie	rs. 3 k. 60	rocznie . . .	rs. 5
półrocznie . .	„ 1 „ 80	półrocznie .	„ 2 k. 50
kwartalnie . .	„ 90	w Austryi roczn.	9 guld.
miesięcznie .	„ 30	w Prusach „	5 talar.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 NOWY.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środę

Skład Główny w Księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebera i Spółki, we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; w *Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego

NUMER POJEDYŃCZY KOP. 10.

Znajomość przeszłości.

Każda epoka w społecznym życiu, posiada właściwy sobie charakter, odrębne pojęcia, i cele. Warunki bytu, potężny wpływ okoliczności i otoczenia nadają pewien oznaczony kierunek dziejowemu pochodzeniu ludów, a kierunek ten uwydatnia się w myślach, słowie i czynach. Ktokolwiek uważnie śledzi dzisiejszy ruch naszego społeczeństwa, kto z tych rozbudzonych objawów życia potrafi wyciągnąć pewne wnioski, ten zgodzi się z nami że od lat kilku nastąpił zwrot stanowczy na inne nowe tory przedtym zapomniane. Zwrot ten z konieczności musiał się uwydatnić w literaturze, wywarł wpływ na kierunek wychowania, a co więcej ukazał nowe pole pracy, pole leżące odłogiem, a jednak ważne niesłychanie, bo jego uprawa może jedynie podnieść dobrobyt i zgotować bogactwo społeczne.

Mówię tu o przemyśle, który pomimo nieprzyjaznych dla jego rozwoju warunków, jak brak kredytu, apatyja kapitalistów, nieufność do stowarzyszeń i spółek, bądź co bądź coraz więcej zaczyna znajdować zwolenników, wzrasta w znaczenie i zyskuje uznanie swej pożyteczności dla kraju. Nie ma najmniejszej wątpliwości, że prócz potrzeby która jest matką wynalazków, popularyzacyja nauk przyrodzonych i systematyczna uprawa tych umiejętności, przez nieliczną garstkę młodzieży tak w Warszawskim jak i na innych uniwersytetach, przyczyniły się znacznie do tego szczęśliwego zwrotu. Filozofija, antropologija, fizyjologija a także fizyka, chemija, botanika, zoologija, i t. d. nie są już dzisiaj tym nieznanym ptakiem przynajmniej w kole oświeceńszych ludzi. Tłomaczenia wyborowych dzieł obcych, liczne artykuły pomieszczane w czasopismach, niejedno oświeciły w kwestyjach, o których słabe i niedokładne miał pojęcia. Przyklaskujemy z całego serca podobnej pracy, oświadczamy iż ona dla naszego społeczeństwa przyniesie korzyść o jakiej może dzisiaj nawet nie marzymy, ale ośmielamy się zrobić uwagę, że nie tylko popularyzacyja pojęć filozoficznych, nie tylko obznajmienie ogółu z postępem nauk przyrodniczych, nie tylko kwestyja dobrobytu, rękodzieł, i przemysłu wchodzą w obręb tych składników, które życie społeczne stanowią. Obok dzieł Darwina, Boucle'a, Drapera, Spencera, obok podręczników nieodzownych dla specyjalisty, obok nareszcie belletrystyki która niby istna powódź zalewa półki księgarskie nie widzimy tak wiele prac dających poznać przeszłość. I co więcej, a przykro wymówić te słowa, znajomość dziejów jest nawet pomiędzy inteligencyją rzeczą wyjątkową.

Jeżeli nas obchodzą dzieje i postęp cywilizacyi Angielskiej, Amerykańskiej i t. d. jeżeli z ciekawością bierzemy w rękę „Przegląd dziejów przyrody“ stydyjujemy z zapałem rozprawy o człowieku przedhistorycznym, i kłócimy się zajadle o teoryją przemiany pokoleń, to przy tych rozlicznych zajęciach, warto abyśmy choć czasem wspomnielii o późniejszych dziejach. Nie chcę przez to rozumieć abyśmy zstępowali z obranej drogi abyśmy zwróciwszy wzrok po za siebie widzieli jedynie przeszłość, bo społeczeństwo żyjące tylko wspomnieniem tego co było, jest jak ów starzec zgrzybiały cieszący się okruchem wrażeń zapamiętanych z młodości, a w którego żyłach krew krzepnie. Nam potrzeba myśleć o tym co było i jest dzisiaj, żeby zaś umieć się kierować jak przynależy i działać celowo błędy przeszłości i jej zalety poznać potrzeba. Nieznajomość dziejów, lub też znajomość niedokładna prowadzi do mylnych poglądów, do fałszywego i stronnego sądzenia poprzedników naszych. Są między nami tacy, co poznali tę przeszłość tylko, z powieści lub gawęd.

Są inni którzy może zbyt zaślepieni miłością tego co swojskie, wszystko cokolwiek niegdyś się działo, widzą w jasnych słonecznych kolorach.

ŚLADY ŻYCIA.

XLVI.

Tyle życia, ile... w czynie.

W Europie w wieku XIX, w pewnej wiejskiej szkółce istnieje następujący zwyczaj postępowania z uczniami:

— *Jks!* powiedz lekcyją! Nie umiesz? To dobrze; pamiętaj, że możesz nie dostać promocyi! Ale, poczekaj no — masz ty ojca.?

— Mam.

— A krowy są u was?

— Są.

— Ja słyszałem, że u was dobre sery robią.

— A robią.

— Ja bardzo lubię dobry ser — pamiętaj, że możesz nie dostać promocyi!

— *Ypsylon!* Przeczytaj co zadane! Ty masz złą wymowę—możesz nie dostać promocyi. Ty w domu się uczysz?

— Uczę się, panie profesorze.

— A nie zimno u was w domu?

— Nie.

— A u mnie zimno —drzewo drogie a twój ojciec ma ładny las—jabym od twego ojca *kupił* z sążeń drzewa.

— *Zet!* Znowu jesteś niespokojny? ruszaj do domu — przyjdziesz dopiero za dwa miesiące—ani mi się pokazuj na oczy!

Chłopiec zabiera książki i wychodzi grając za drzwiami na nosie w kierunku katedry. W ten sposób klasa stale się przerzedza. Profesor ma mniej kłopotu, bo największe urwisy odprawiają rekreacyje w domu a i pożytek z tego systemu nie wątpliwy... rozumie się dla spiżarni szanownego profesora.

* * *

— Patrz no skąd tam w księgarni tyle płci pięknej!

— A... a... prawda! zobaczmy co też te panie kupują.

— Dama Nr. 1: Proszę o dwie najnowsze polki... tylko jakie ładne...

— Dama Nr. 2: Proszę o parę walczyków.

— Dama Nr. 3: Proszę o mazura grywanego w resursie obywatelskiej.

— Mama z córeczką: Proszę o coś łatwego na 4-y ręce.

— Papo z 2-a córkami: Proszę o nuty.

— Jakich sobie pan życzy?

— No... tak... coś wesołego: dobrego np. mazura—walca... poleczkę...

— Służąca z paczką nut: Proszę pana, panienka te nuty co wczoraj wzięła — odsyła — bo to wcale nie skoczne — może pan zamieni na jakie *lepsze*.

— No i cóż widziałeś:—co te panie tak tłumnie zgromadza do księgarni?

— A widziałem niestety!

Ci ludzie nie pojmują znaczenia historyi w społecznym życiu, grzeszą zbytkiem uczucia a brakiem chłodnej rozwagi. Oni jak dziewczę wioskowe wybrali z pośród zielonej łąki same barwne kwiecie i spletli nadobny wieniec, nie pomnąc, że pozostały jeszcze chwasty i zielska, nie pomnąc, że może w niejednym kwiatku jaśniejącym przepychem kolorów, kryje się zdradna trucizna! Nie możemy jednak potępiać tych ludzi, nie możemy żądać od poetyckich genijuszów, którzy także do tego grona należą, aby odmalowali nam przeszłość inaczej.

Ale są także i tacy, co zebrawszy tu i owdzie trochę oderwanych wiadomostek i faktów z dziwną zaiste lekkomyślnością orzekają, że dzieje i trudy przeszłości nic warte, że ta przeszłość, to bagnisko brudu i niecnoty, że to źródło przesądów, ciemnoty, zapleśniałej rutyny, że z tego zatrutego źródła płyną dotąd w krew społeczną szkodliwe miazmaty i zarażają na nowo trądem starych grzechów. Dziwna zaiste lekkomyślność, smutny objaw fałszywego zrozumienia swego stanowiska w społeczeństwie. Kto wyznaje tego rodzaju przekonania, błądzi.

Znajomość gruntowna dziejów nie do takich wiedzie przekonań. Nie przez pryzmat poetyckich zachwytów, nie okiem i umysłem dziecka, nie miernikiem płytkiego dyletenta ani przez zakopcone szkło pesymisty rozpatruje się i ocenia dziejowy pochód społeczny. Ostatnie prace dziejopisarskie rzuciły światło nowe na wiele kwestyj i faktów mylnie i stronnie pojmowanych, mamy już wcale niezłe podręczniki do wykładu dziejów, ale czyż wiele ojców i matek, czyż wiele nauczycieli i nauczycielek, czyż co najwięcej dziatwy z tego korzysta?

Wstyd powiedzieć, iż żadna nauka nie jest tak lekko traktowaną jak historyja nawet w domowym wychowaniu. Czyż jej nie nauczy, bona niemka lub guwernantka francuska, czy chłopiec 12-o letni lub 14-o letnia dziewczynka mają jakie takie pojęcie o historyi i jeografii swojego kraju, pojęcie któreby nie było zbiorem bajeczek, któreby stanowiło grunt do dalszego kształcenia się w tym kierunku?

G. D.

CHŁOPSKA SPRAWIEDLIWOŚĆ.

OBRAZEK Z ŻYCIA GALICYJSKIEGO

PRZEZ

M. Sacher-Masoch'a.

(Ciąg dalszy).

— Chcę — zawołała gwałtownie wdowa — chcę abyśmy się połączyli dla osądzenia tego podpalacza, tego złodzieja... i to dziś, na miejscu.

— Co? co ona mówi? spytano w tłumie.

— Żąda, abyśmy osądzili Cyryla.

— Cyryla i innych, Stawrowskiego, Łapkowicza, Kostkę...

— Sąd na całą bandę, sąd na tych łotrów, koniokradów! zawołał Hryń, wyciągając ręce ku niebu i tocząc oczyma jak obłąkany.

— Bóg mówi przez usta tego dziecka — rzekła Teodozyja. Domagam się sądu gminy.

— Ja także! dodał Jacenty Prow — oni to doprowadzili mnie do nędzy.

— Ja także! i ja także! powtórzyły setki głosów ze wszystkich stron.

— Niechże się tak stanie! rzekł Hryń Jaremus zdejmując czapkę. Gmina chce sądzić. Niech Bóg pobłogosławi i niech nas strzeże od niesprawiedliwości, występku i gwałtu.

Widząc na co się zanosi, zbliżyłem się do tłumu i rzekłem:

— Co czynicie ludzie? Chcecie pogwałcić prawo, zamącić porządek, złym za złe odpłacić. Kto upoważnił was do wymierzania kary? Jeżeli osądzicie tych bandytów, zrobicie to samo co robili oni zabierając wam konie i podpalając chaty. Zastanówcie się! Ponieważ macie podejrzenia, świadków, dowody wreszcie, aresztujcie więc złoczyńców i oddajcie ich trybunałom.

— To się na nic nie zda — odparł Jacenty Prow.

— Przypuszczając, że trybunały potępią ich nawet — odpowiedział Jaremus — to i tak jeszcze wrócą oni po kilku latach aby się zemścić.

— Na miłość Boga, chcecie więc pozabijać ich? zawołałem przerażony.

— Kto o tym mówi? spytał surowo starzec.

— Nie możecie sądzić innych — ciągnąłem, sami bowiem nie jesteście bez grzechu...

— Żaden też z nas pojedynczo nie śmiałby ich sądzić — rzekł Jaremus tonem uroczystym; to cała gmina wyda swój wyrok.

— Napróżno starałem się uspokoić wzburzony tłum, odwołując się do litości dla nieszczęśliwych, których nędza popchnęła do kradzieży, a których możnaby wreszcie obezwładnić nie uciekając się do ostatecznych środków.

— Wszystko to jest prawda — odparł zamyślony Hryń Jaremus — lecz jakim sposobem zrobić to, co pan mówisz? My biedni chłopi mamy przeciw sobie naturę, szkodliwe zwierzęta, cholerę, wojnę i głód; już i tak za wiele złego. Nie możemy tego oszczędzać, kto nas nie oszczędza. Alboż życie samo nie jest dość ciężkie, ażeby jeszcze jeden drugiemu mógł szkodzić bezkarnie? Jeden musi ustąpić i zginąć, kiedy chodzi o wszystkich. Któż pszczołom dał prawo, wówczas gdy ule są przepełnione, zabijać trutniów, gęby nieużyteczne, lub wypędzać ich z roju, kto?...

— Mamy prawo — zawołała Teodozyja — ponieważ mamy siłę.

Pochwyciłem za rękę tę rozbestwioną kobietę.

— Pomyśl — rzekłem — że na śmierć narażasz twego kochanka, którego ocalić tyś powinna..

— Jego ocalić! odpowiedziała z wybuchem śmiechu. Ja właśnie chcę jego krwi!...

Zwróciła się do tłumu:

— Jeżeli zostawimy ich w spokoju, nędznicy ci zorganizują bandę i będą kraj cały rabować, zabijać i podpalać!...

— Sądźcie ich! sądźcie ich! wołał Hryń głosem fanatyka.

— Sądźcie ich! powtórzył tłum.

— Do karczmy! zawołała Teodozyja, chwytając niedopalony kół w rękę.

Natychmiast rzucono się na dymiące jeszcze szczątki młyna.

Ten chwytał żerdź, inny krokiew, jeszcze inny kamień.

Drżąc na całym ciele pobiegłem do karczmy przez pola, a tymczasem gmina, mężczyzni, starcy, kobiety, dziewczęta i dzieci, zjednoczeni myślą, uczuciem, wolą jedną posuwali się wzdłuż gościńca w tym samym kierunku.

— I cóż ty na to?

— Ha... cóż! My śpiewamy o materyjalnej biedzie społeczeństwa, a nasze panie wygrywają polki i walce jak za najlepszych czasów.

— Więc ci się nie podoba taki akompanijament?

— Zapewne; bo pomyśl tylko: gdyby te setki i tysiące rąk rozbijających niewinne fortepijany, wzięły się do jakiegoś (a jest ich dziś już tyle!) *produkcyjnego* zajęcia, gdyby nasze żony i córy, zamiast być melodyjnym ciężarem stały się pracowitemi pomocnicami mężów i ojców, to o ileż w takim razie podniósłby się procent żywotnych sił.

— Eh... idź... idź moralisto, nudziarzu! Czyż nie wiesz, że *u nas* „choć bieda zawsze... hoc!“ że zresztą muzykomanija przeszła już w chorobę chroniczną naszej płci niewieściej!

* * *

A jednak nie jest tak źle zupełnie. Mamy co prawda za wiele maryjonetek grających, ale też przybywa nam coraz więcej kobiet myślących i co ważniejsza *myślących nauczycielek*. Oto np. co jedna z tych ostatnich pisze do nas mówiąc między innemi o pedagogicznym znaczeniu *naśladownictwa*. „Czymże jest, słowa korespondentki, pierwiastkowe wychowanie człowieka, jeżeli nie *dobrym użyciem i skierowaniem* tej właśnie, jakby wrodzonej ludziom skłonności do naśladownictwa? Dziecko, zanim zrozumie co robi, już naśladuje to co widzi, przesiąka tym co je otacza, tak iż to przechodzi, że tak powiem w naturę i niczym się już później wykorzenić nie daje. Miałam sposobność przekonać się nie raz, jak dalece bezmyślne jeszcze dzieciny, ulegają wpływom złym i dobrym, jak instynktowo, bezwiednie stają się wiernym tychże wpływów odbiciem. Nie zawsze wprawdzie można dojrzeć i określić to, co na wrażliwym stworzeniu niezatarte częstokroć odciska piętna, lecz też ta właśnie okoliczność tym więcej skłaniać powinna wychowawców, do pilnego uważania na siebie *na całe otoczenie przyszłego człowieka.* Patrząc na moje dziewczynki (których mam pięć a każda z innego gniazdka) i zestawiając ich usposobienie obecne z warunkami w jakich przedtym wychowywane były, widzę jak na dłoni, że warunki te oddziałały na nie (t. j. dziewczęta) w sposób zupełnie naturalny, że tak a nie inaczej oddziałać musiały na nie.“

Obiecując sobie na podjętу temat wypowiedzieć w przyszłości kilka obszerniejszych uwag, a zarazem prosząc sz. korespondentki o dalsze „*spostrzeżenia z nauczycielskiej praktyki*,“ pytamy się tymczasem pewnej zwłaszcza klasy rodziców co lepiej: czy sprowadzać „*dla dzieci*“ pokojówki paryskie, czy też postarać się o podobnie pojmujące swoje szczytne zadanie, nauczycielki polki?

* * *

W swoim czasie podnosiliśmy w „Opiekunie“ sprawę tworzenia prywatnych szkół elementarnych przy zakładach fabrycznych. Czy głos nasz przebrzmiał bez echa, czy też później nieco, jak wiele rzeczy innych wznowionym i uwzględnionym zostanie; nie chcemy i nie możemy przesądzać. Że zaś w każdym razie myśl przez nas podjęta nie była przedwczesną mrzonką, na to znajdujemy dowód w „Kijewlaninie,“ który mówiąc o tego rodzaju naukowych zakładach nadmienia, że w gubernii Kijowskiej szkoły dla dzieci oficyjalistów i robotników, od dość dawna już prosperują, a w roku nadto bieżącym założona została „*szkoła dla nieletnich pracujących w cukrowni*.“ Zakład ten powstały przy cukrowni śmielańskiej braci Babrzyńskich, utrzymywany jest kosztem ofiar osób prywatnych przy zapomodze nadto samej cukrowni, która na rzecz szkoły przeznacza fundusze z kar pochodzące. Obecnie otwartym został pierwszy dopiero oddział szkoły; po otwarciu zaś w roku

VIII.

Zbliżając się do karczmy, usłyszałem odgłos wesołych pieśni. Siedmiu złodziei piło, śmiało się i żartowało, siedząc dokoła wielkiego stołu. Cyryl miał na szyi rozstrojoną gitarę, wiszącą na wyblakłej czerwonej wstążce. Stawrowski objąwszy wpół piękną żydówkę, przymuszał ją do tańczenia krakowiaka, a tymczasym żyd liczył pieniądze.

— Dalej! zawołałem wbiegając — dalej, ratujcie się, uciekajcie na granicę Węgierską. Gmina chce was sądzić, już idą!

— Niech idą! odpowiedział chór bandytów.

— Nas chcą sądzić, nas? spytał Cyryl.

Stawrowski począł się śmiać.

— Nie odważą się, wrócą nim dojdą do szynku, mogę się oto założyć.

— Uciekajcie! błagała żydówka. Bierzcie konie!

— Żyd przystąpił w największym pomięszaniu.

— Cyrylu—rzekł — ocalmy się lepiej.

Złodzieje wybuchli śmiechem. Widząc ich tu siedmiu młodych, silnych i jaśniejących zdrowiem, musiałem przyznać w duchu, że była to najpiękniejsza i najdzielniejsza młodzież nie tylko we wsi, ale nawet w całej okolicy.

— Jeżeli nie chcecie uciekać, rzekłem — poddajcie się gminie, ulegnijcie jej sądowi, wynagródźcie krzywdy i przyrzeknijcie, że staniecie się odtąd ludźmi uczciwemi, że będziecie pracować.

— My pracować? spytali zdziwieni złodzieje,

— Pracować? przepraszam... zawołał Stawrowski pokładając się od śmiechu, jak dziecko.

— Gdybym nie mógł kraść —zawołał Łapkowicz, dwudziestoletni, bez brody chłopak, gdybym nie mógł kraść, umarłbym nie zawodnie. Zdaje mi się, że jeszcze w kołysce okradałem mego brata bliźniaka, później zaś żadne jabłko, żadna śliwka nie smakowały mi, jeżeli nie były skradzione. Co pan chcesz? mój ojciec i matka dawali mi wszystkiego poddostatkiem. Urodziłem się złodziejem i złodziejem umrę. Gotów nawet jestem założyć się, że mój duch należy do tych co to w nocy na pastwisku motają grzywy koniom i wpędzają je na bagna.

— Powiedz mi pan, jeżeli łaska, co to złego: kraść? wtrącił Kostka, chłop z członkami jakby ze śpiżu ulanemi, ogorzały jak Indyjanin.

— Nie, Bóg tego nie pozwala.

— Nie pozwala? Bah! a dla czegóż tak się dzieje?

— Czy nie znasz dziesięciorga przykazań?

Kostka spojrzał na mnie z naiwnym podziwem, opuszczając wargi.

— Nie znam—nie, zkądbym zresztą mógł znać? Nigdy nie chodziłem ani do szkoły, ani do kościoła. Wiem tylko, że karzą złodziejów; ale za co? Nikt mi o tym nie mówił.

Gdy inni, trącając się szklankami, poczęli się śmiać, Stawrowski uderzając pięścią w kolano mruknął.

— Tam do dyjabła!.. Kasia idzie...

Po chwili blada, rozczochrana, wpadła biedna dziewczyna do karczmy.

— Już idą, zabić cię chcą, uciekaj, — zawołała obejmując go i oblewając potokiem łez.

— O Boże sprawiedliwy! mruknął żyd, będzie nieszczęście, będzie wielkie nieszczęście. Jego żona krzyczała i łkała.

— Moglibyśmy istotnie .. zaczął Stawrowski pieszcząc Kasię, która oparła głowę na jego piersiach.

— Masz ochotę uciekać, Baszo, niewieściuchu? wrzasnął Cyryl, — uciekaj więc, albo poproś twojej kochanki ażeby cię schowała... Dalej!

— Co ty mówisz?

— Nie chcemy uciekać, — zawołali bandyci. Hej! wódka! muzyka!

Cyryl począł brzdąkać na gitarze, a cały chór zanucił pieśń pijacką, nie zważając na jakiś dźwięk fałszywy i płaczliwy; to jedna ze strón gitary pękła. Tymczasem żyd modlił się głośno, żydówka płakała, a Kasia, zanosiła się od spazmatycznego śmiechu.

— Śmiej się, mała! szeptał do niej Stawrowski podając jej swoję szklankę.

— Widzisz, że się śmieję, — odparła chciwie połykając wódkę, lecz nagle zachłysnęła się; twarz jej stała się purpurową, poczęła kaszlać.

— Myślałem, żeś płakała, — rzekł Basza.

— Ależ nie, ja się śmieję!

Tymczasem łzy jej spływały do szklanki.

— A zatym macie chęć uciekać? spytał nagle Cyryl tonem szyderczym. Otóż już jest zapóźno... już przyszli!

Chór powtórzył zwrotkę, która rozległa się aż na gościńcu, a tymczasem gmina, posuwając się w milczeniu ogromnym kołem otoczyła cały dom. Przez chwilę nikt nie śmiał przerwać tej uroczystej i złowrogiej ciszy.

Z miną wyzywającą, z podniesionym czołem, trzymając jednę rękę w kieszeni, a drugą ściskając gitarę, ukazał się nakoniec Cyryl na progu karczmy.

— Czego chcecie kochani sąsiedzi i przyjaciele? Chcecie pić, czy śpiewać razem z nami?

Brzęknął znowu na gitarze, a bandyci z wewnątrz odpowiedzieli mu nową zwrotką. W tej samej chwili gwiznął kamień druzgocząc szybę karczmy.

— Co to jest? krzyknął Stawrowski wychyliwszy się przez okno. Kto rzucił ten kamień?

— Nie przyszliśmy tu, aby rzucać kamieniami, ale po to aby ich sądzić, — rzekł surowo Hryń Jaremus.

— Doprawdy? spytał Łapkowicz stając obok Cyryla. Zgraja próżniaków! Kogóż to chcecie sądzić?

— Was! was! odpowiedziały setki głosów ponurych jak ryk burzy.

— Ciebie sądzić, ciebie Cyrylu, ciebie przedewszystkim, dodała Teodozyja występując na środek koła, ciebie sądzić podpalaczu, morderco, Kainie!...

— Ja, morderca? krzyknął w uniesieniu Cyryl.

— Tyś złodziej, — rzekł Jacenty Prow; o tym wszyscy dobrze wiemy.

— Koniokrad! zawołał Hryń, grożąc mu słabą pięścią.

Tymczasem inni bandyci wystąpili przed karczmę w towarzystwie Kasi i żydówki. Żyd przepasał się sznurem do modlitwy i szeptał psalmy ukucnąwszy za szynkwasem.

— Jestem więc złodziejem! rzekł Cyryl i ze śmiechem odwrócił się do towarzyszów.

(d. c. n.).

---

przyszłym oddziału drugiego, niektórzy z oficyjalistów cukrowni podejmą się bezpłatnego wykładu danych przedmiotów. Kurs pierwszego oddziału oznaczonym jest na rok jeden, kurs oddziału drugiego na lat dwa. Aby nieletnim robotnikom dać możność uczęszczania do szkoły, urządzono dla nich w cukrowni trzy zmiany, to jest liczbę godzin pracy z 12-u zmniejszono do godzin 8-u, a na naukę w szkole przeznaczone zostały dwie godziny dziennie. I u nas, tak w Warszawie jak i na prowincyi liczba dzieci (jak o tym mieliśmy sposobność się przekonać) pracujących w zakładach fabrycznych, w ostatnich zwłaszcza czasach, powiększyła się znacznie. Czyby więc szanownym pracodawcom, zarówno we własnym jak i ogólnym interesie o szkołach podobnych, nie należało pomyśleć? Rzecz to przecież jak widzimy niezbyt kosztowna, a jednak jakież znakomite skutki wydaćby mogła!

* * *

Książki dziecinne, o ile niezbyt często a raczej raz do roku pojawiają się tylko o tyle znów większa część takowych zapchaną jest zwykle powiastkami wyłącznie. Książeczki, któreby dla młodego czytelnika stać się mogły bodźcem do zamiłowania rzeczywistej nauki, któreby w rozwijające się umysły *umiały* wdrażać myśl poważniejszą, książeczki powtarzamy takie należą u nas do białych kruków i dlatego też z tym większą przyjemnością polecić możemy *nowe wydanie* książeczki p. t. „*Wiązanie dla moich wnuków*“ przez T. Dziekońskiego, wyszłe nakładem księgarni Ungra i Banarskiego. „Nie zapychałem kart powiastkami, powiada autor w przedmowie, bo pragnę zachęcić młodzież do czytania dzieł naukowych, pewny będąc, że czytelników romansów nie zabraknie.“ Czy autor ten piękny cel osiągnął? Zdaje nam się, że *tak*. W miluchnej a przystępnej dla kilkoletnich nawet dzieci formie, autor potrąca o rozmaite a zawsze pełne interesu przedmioty, dotyka każdej niemal gałęzi wiedzy, zaciekawia, obiecuje słowem robić to wszystko, co młodego czytelnika może na tym stopniu postawić, że następnie każdą już poważniejszą książkę nie ze strachem ale z upodobaniem brać będzie do ręki. Kilka rycin zdobi książeczkę i ułatwia dziecku zrozumienie rzeczy, druk duży, czytelny, wydanie bardzo staranne.

* * *

Zapomnianemu jakoś od pewnego czasu „Towarzystwu osad rolnych i przytułków rzemieślniczych“ otwiera się nowe źródło dochodu. Urzędnicy dróg żelaznych: Warszawsko-Wiedeńskiej i Bydgoskiej postanowili na rzecz tegoż towarzystwa wnosić stałe składki pieniężne które fundusze instytucyi pomnożą o *tysiąc* rubli rocznie. Ci zaś z pracujących na wspomnionych kolejach, którzy dla rozmaitych przyczyn nie mogli zobowiązywać się do składek stałych, ofiarowali jednorazowo rs. 200. Jedno z pism robi ze swej strony uwagę, że gdyby za przykładem urzędników kolei Wiedeńskiej poszli wszyscy inni kolejnicy oraz oficyjaliści i pracownicy fabryk i zakładów przemysłowych, wtedy nasze osady rolne odrazu stanąćby mogły na stopniu istotnego rozwoju. Słuszność uwagi tej jest sama przez się widoczną. Tak kolejnicy jak i oficyjaliści zakładów przemysłowych powinniby pamiętać o osadach rolnych z dwóch bardzo ważnych względów: najprzód dla samej instytucyi a powtóre dla samych siebie. Instytucyja ma wielką doniosłość społeczną w ogóle, a kolejnicy nędznie bardzo płatni i skutkiem tego nie mający środków kształcenia dzieci, z bólem serca wprawdzie ale muszą nieraz stawiać sobie *pytanie*, czy też ze składek owych stałych, nie będzie kiedyś korzystało ich własne pokolenie?

* * *

SZKOŁA.

ze stanowiska metody freblowskiej.

(Z Augusta Köhlera, Dyrektora Seminaryjum na uczycielek w Gotha).

Szkoła, która do tego jedynie dąży, by dać uczniom jak największy zasób książkowej mądrości a przytym całą swą pomyślność zasadza na pamięciowej nauce i wygłoszonych prawidłach: — taka szkoła, w żaden sposób zgodzić się nie potrafi z freblowskim ogródkiem — ani on z nią. I nigdy się one nie zespolą, wiecznie walkę staczać będą, ile razy bliżej zetkną się z sobą; ponieważ główne ich zasady, sprzecznej są natury. Przeciwnie zaś szkoła nowa, której początek dał Pestalozzi, a udoskonalił ją Diesterweg i jego zwolennicy: — ta jest niejako w naturalnym związku z ogródkiem dziecięcym. Oboje bowiem odstępują od dawnej rutyny nauczania, a stanowczo przyjmują nową. A więc łatwo pojąć zkąd pochodzi: że wielu jeszcze nauczycieli, przeciwnemi są ogródkom dziecięcym, a wielu znów jest takich, którzy uzasadnionego systemu Fryderyka Frebla, największego z uczniów Pestolozzego, należycie ocenić nie umieją. Wzmiankowani powyżej pedagogowie, są przedstawicielami nowej szkoły. Szkoły która przyjęła za zasadę: — *„Rozwijająco wychowawcze nauczanie“* czyli: *„Przyrodzony wszechstronny rozwój sił duchowych.“* Szkoły — która w nowych czasach, zwróciła na siebie uwagę wszystkich przyjaciół ludzkości a która, z pociechą wyznać można o wiele wyższe od dawnej, zajęła już stanowisko. Słusznie więc o tej jedynie *nowej szkole*, mówić tu będziemy; bo *stara* jako zużyta, do obumierających już instytucyj zaliczoną być musi.

Nowa szkoła nie uważa się za *„Zakład* wykładowo-nauczający“ — ale przedewszystkiem, jako *„Zakład wychowawczy“* — i jest nim rzeczywiście, w całym znaczeniu tego wyrazu. Jej bowiem głównie chodzi o wychowanie swoich uczniów. Karność, to jest: porządek w ścisłym znaczeniu tego wyrazu; — sumienność, akuratność, posłuszeństwo, czyli ścisłe stósowanie się do ustanowionych przepisów, jest tu na pierwszym miejscu, — doktryna zajmuje drugie. Nie wabi ona swych wychowańców, obłudnemi nadziejami nagrody. Nakazuje stanowczo, domaga się posłuszeństwa w imie zasad pedagogicznych; krótko i zwięźle na wzór bozkich przepisów i ustanowień, bez czego wspólne pożycie, w licznym gronie, byłoby niemożebnym. Obowiązuje zarówno i nauczyciela do stosowania się dobrowolnie do wszelkich urządzeń i przepisów, z pod których on uczniom swoim wyłamywać się nie pozwala. Konsekwentna surowość nauczyciela względem siebie i uczniów, złączona ze sprawiedliwością, łagodnością i miłością, jest to najpierwszy warunek dobrej szkolnej karności. Drugi warunek na tem się zasadza, iżby dzieci w nieustannej a odpowiedniej ich siłom działalności utrzymywać. Próżniactwo do wiela złego prowadzi; prawdziwa zaś działalność, zarówno w starszych jak w dzieciach, złe skłonności niweczy, a rozwija boskie, dobre. Nadmierne wszakże i zbyt trudne wymagania, nie tylko odbierają chęć do pracy, ale i powodują następstwa opierające się dobrej karności.

Jak z drugiej znów strony, zamałe i załatwe zatrudnienie, staje się niebezpieczne; bo i ono prowadzi uczniów na manowce i bezdroża. Wszystko to zważywszy, z wielką przezornością i troskliwością rozdziela nowa szkoła przedmioty naukowe; a mając na względzie, z jednej strony usposobienie i wiek uczniów, z drugiej trudność przedmiotu, stara się o zaprowadzenie między niemi właściwego stosunku.

„Postępujcie od rzeczy łatwych do trudnych“ oto najpierwsza zasada, podług której kurs przedmiotu, nie tylko co do ilości klas jakiejś szkoły, ale i stosunkowo do uczniów jednej i tejże samej klasy, na miesiące, tygodnie, dnie i godziny, powinien być rozdzielonym. I na każdej nawet lekcyi, przez wzgląd na dalsze kursa przedmiotów, powinien nauczyciel przeplatać trudniejsze łatwiejszym; aby cały obszar wiedzy utrzymać w równowadze do jednego, że tak powiem, sprowadzić mianownika; czyli dać uczniom swoim, jednolity zasób wiadomości.

Nie na mnogości też przedmiotów — ale na jakości i sposobie wykładu, zasadza nowa szkoła swoje widoki; a choćby kurs był najkrótszy, byle gruntownie i wszechstronnie oddziaływał; — to jest jej dążność która już do najpiękniejszych doprowadziła rezultatów. Trzeci warunek rzetelnej karności i porządku w szkole, zasadza się na zajęciu uwagi wszystkich uczniów; nie zaś niektórych tylko, czyli: na zaprowadzeniu ćwiczeń (wykładów) całoklasowych, to jest *zbiorowych* (Massenunterricht), zamiast owego niebezpiecznego dla porządku, zajmowania uczniów pojedyńczo, (Einzelunterricht). Wszyscy uczniowie jednej klasy, i to podczas wszystkich lekcyi bez wyjątku, mają być jakby jeden uważani: do wszystkich w ogóle i do każdego w szczególności, jedno i toż samo odnosi się pytanie, jedna i taż sama nauka, jedno i toż samo rozporządzenie. Wszelkie zajęcia miarowe, to jest w takt wykonywane, odpowiadanie na przemiany: to chórem, to pojedyńczo, to donośnym, to cichym, to powolnym, to prędkim tonem, orzeźwia, ożywia i rozwesela całą dzieci gromadkę; — tym sposobem dzieci powolne i leniwe, pociągnięte są niejako, i wyrównywają drugim; — a zbyt hałaśliwe i roztrzepane, w należytych utrzymują się granicach. I oto niechcący, bez żadnych wysileń, ustala się porządek w takiej szkole, nie naruszając wesołości ani swobody właściwej wiekowi, kieruje każdym słowem i czynem, w każdej porze i na każdym miejscu.

Tak więc żyją dzieci jednej gminy przez kilka godzin dziennie we wspólnej jedności i zgodzie — a jeden duch je ożywia, jedne łączą prawa, jedno spaja ogniwo; co w późniejszym życiu w wielki łączy je naród. Bo owo uczucie wspólności, rozbudzone już wcześniej w ogródku dziecięcym — a potem przez ośm lat szkólnych statecznie przez nauczycieli pielęgnowane, musi koniecznie odziałać zbawiennie na późniejsze pożycie gmin, i całego narodu.

Co się zaś tyczy wykładu nauk, to nowa szkoła, całą wiedzę opiera na nauce poglądowej, w czem zbliża się do ogródka dziecięcego: którego celem jest jakcśmy to wyżej widzieli, wyrabianie praktycznych poglądów. Lecz rzecz godna uwagi, że *szkoła nowa* od dziesięciu już lat przynajmniej, porzuciła ową jednostronną metodę, podług której tylko patrzeć i słuchać uczniom było wolno, a bezwiednie przyjęła tę: — podług której nie tylko słuchać i patrzeć powinni, ale w ogóle wszystko, co pod zmysły podpada — o ile można jak najwszechstronniej wyrozumowywać; a więc tem samem uznała całą doniosłość *poglądów Frebla.*

d. c. n.

Niezadowoleni jesteśmy z naszych pocztkonnych, będziemy więc mieli *gołębie.* Poczty te, mające się zaprowadzić wyłącznie w celach wojskowych, i w obrębie Królestwa będą miały parę stacyj a mianowicie: w Warszawie Iwangrodzie (Demblinie) i Nowogieorgiewsku (Modlinie). Stacyja Warszawska tymczasowo pomieszczoną zostanie w ogrodzie botanicznym, następnie zaś przeniesioną będzie *na Pragę.*

* * *

Zawadziwszy mimowoli o szanowną Pragę powiedzmyż słówko i o jej pięknych rzeczach ot np. chociażby o chodnikach. Ku wielkiemu zdziwieniu a zarazem i prawdziwej radości (!) Prażan, przed paru laty pojawiło się parę asfaltowych chodników. Radość to była powtarzamy wielka, dla setek ludzi używających stale kąpieli błotnych, było to jakby wejście do raju. Aliści! owej tak życzliwie witanej nowości, niewyraźne zaledwie pozostały ślady. Co gorsza że na całej przestrzeni od rogu ulicy Aleksandrowskiej do stacyi kolei Terespolskiej, potworzyły się w asfaltowym niegdyś chodniku, tak głębokie otwory, że w nocy zwłaszcza biedni przechodnie nie tylko na gimnastyczne skoki ale po prostu na skręcanie karków i łamanie nóg narażani być muszą. Czy i jak długo tak będzie czy kiedy nastąpi reperacyja sfatygowanych chodnikówpróżno dopytują sfatygowani również Prażanie. To jednak zdaje się być pewnym, że co przed półrokiem jeszcze pociągnęłoby za sobą bardzo niewielki wydatek, dziś kosztować musi co najmniej dziesięć razy tyle, bo gdy się zaczeka z jaki miesiąc jeszcze, to nawet niewyraźne dziś ślady chodników prazkich ostatecznie się zatrą.

* * *

Przed niedawnym czasem dano w Łomży dwa amatorskie przedstawienia na korzyść niezamożnych uczniów miejscowego gimnazyjum, oraz na początkowe koszta uorganizowania w tymże mieście straży ogniowej. Na urządzenie straży otrzymano czystego dochodu rs. 185 kop. 92½, na wpisy zaś szkolne rs. 130. Ta ruchliwość miast prowincyjonalnych, na polu niesienia pomocy pragnącej się uczyć młodzieży, jest pięknym *śladem życia*, i obyśmy śladów takich jak najwięcej zaznaczać mogli.

* * *

Węgiel kamienny tanieje! Cieszcie się komisanci warszawscy. — ciesz się cała rzeszo „maluczkich“ lękających się zimy a spragnionych wśród mrozów ciepła! Oto bowiem na czele ogłoszeń jednego z pism dziennych czytamy w tej chwili wielkiemi literami położony napis: Krajowa kopalnia węgla *„Jan“*... ale nie w tym rzecz jeszcze. Ten „Jan“ (jak większość zapewne Janów) ma tak dobre serce, że ukazawszy się nie dawno, na arenie kopalnianych skarbów krajowych, nietylko, że nas obiecuje uwolnić od monopolu kopalń szląskich, ale co więcej i dzisiaj już dostarcza Warszawie 1000 korcy paliwa dziennie, które jeden ze składów przyrzeka, w sprzedaży detalicznej odstępować o 25 kopiejek taniej na korcu.

Naturalnie, dobre te chęci „Jana“ muszą przedewszystkim uzyskać sankcyją pieców i potwierdzenie ze strony praktycznego użycia jego taniego węgla, w każdym jednakże razie pozwólmy sobie mieć tę błogą nadzieję, że i inni panowie składnicy z dotychczasowym monopolem, obliczonym na wyzyskiwanie całej masy konsumentów, rozstać się zechcą.

O Don Kiszocie

napisał

Józef Tretak.

Wysoko nad poziomem całej literatury hiszpańskiej wznoszą się dwie postacie, jakby dwie wieże, widne zdaleka: Cyd i Don Kiszot. W istocie jakkolwiek literatura hiszpańska, mało jest znaną w przed-pirenejskiej Europie, daleko mniej niż na to zasługuje, nie ma przecież zakątka, gdzieby nie słyszano o Cydzie i nie czytano Don Kiszota.

Dwie te postacie nie przestając być czysto-narodowemi, hiszpańskiemi, stały się własnością całej ludzkości, reprezentują bowiem ideał i karykaturę mężnego wojownika. Cyd jest prawdziwym rycerzem, ma prawdziwych nieprzyjaciół, prawdziwe cele wyprawy i prawdziwą też okrywa się sławą; Don Kiszot jest urojonym rycerzem, ma urojonych nieprzyjaciół, urojone cele wyprawy i urojoną też pozyskuje sławę. Obaj są jednakowo mężni i jednakowo szlachetnym duchem ożywieni, a główna różnica między niemi polega na tym, że odwaga i waleczność Cyda zostaje w ciągłej a twardej służbie rzeczywistego obowiązku, podczas gdy Don Kiszot słucha tylko głosu rozmarzonej fantazyi, która nań mniemane nakłada obowiązki.

Zobaczmy, jakież to zmiany zaszły w Hiszpanii od czasów Cyda do czasów Don Kiszota, które sprawiły, że ten sam naród, co wydał idealną postać recerską tak surowej piękności, mógł potym z tak doskonałym humorem wyśmiać średniowieczne rycerstwo i na wieki złożyć je w skarbcu pamiątek.

Przez całe wieki średnie, jak wiadomo, Hiszpanie podzieleni byli na drobne królestwa i toczyli ciągłą walkę z coraz to bardziej słabnącą potęgą Maurów. Oprócz wojen z Maurami nie brakło też i wojen domowych, pomiędzy owemi drobnemi królestwami. W takich warunkach, jeżeli nie wszędzie, to przynajmniej na granicach królestw każdy powinien był być rycerzem, gotowym w każdej chwili bronić wiary, króla swego, rodziny i mienia. Ale pod koniec XV wieku zaszła w Hiszpanii ważna i nagła zmiana polityczna, która rycerstwo w dawnej jego formie pozbawiła racyi bytu. Małżeństwo Ferdynanda Arragońskiego z Izabellą Kastylską połączyło wszystkie królestwa Hiszpanii w jedną wielką monarchiją. Niebawem ta sama królewska para zdobyła Grenadę, ostatni przytułek niezależności maurytańskiej na półwyspie. Odtąd niebyło już obcego nieprzyjaciela na ziemi hiszpańskiej, zostali jeszcze w prawdzie Maurowie, ale jako lud pokonany i wystawiony na prześladowanie. Nie było już wojen domowych, bo jeden król panował od Pirenejów po Gibraltar. Król ten niepotrzebował się już lękać ani Maurów, ani sąsiadów chrześcijańskich, ale miał jeszcze wewnątrz kraju potęgę do skruszenia, która mogła zazdrośnym okiem patrzeć na wzrost monarchicznej władzy i stawiać jej przeszkody. Byli tą potęgą grandowie hiszpańscy, używający za dawnych królów wielkiego znaczenia i ogromnych przywilejów i z dumy swej słynni na świat cały. Ferdynand ograniczając ich przywileje i wyzwalając lud z pod ich gniotącej opieki, dokonał dzieła sprawiedliwości w interesie własnej polityki. W miarę jak upadało znaczenie arystokracyi hiszpańskiej, wzrasta władza monarchiczna, a z nią dobrobyt klas niższych bezpieczeństwo i spokój publiczny. Dla zupełnego bezpieczeństwa i spokoju urządził Ferdynand dwie policyje: wojenną i duchowną.

Pierwsza odpowiadała dzisiejszej żandarmeryi i nosiła nazwę Świętej Hermandady; druga miała zadanie strzedz prawowierności katolickiej i nazywała się Inkwizycyją. Dzięki pierwszej można było bezpiecznie jeździć po kraju; dzięki drugiej swoboda sumienia nie była bezpieczną w najgłębszym nawet ustroniu, w najpoufalszym kole. Pierwsza strzegła bezpieczeństwa ciała, druga chciała strzedz bezpieczeństwa ducha od błędnych mniemań, a właściwie była ciągłym niebezpieczeństwem grożącym wszelkiemu swobodnemu tchnieniu duszy ludzkiej. Co się tyczy Inkwizycyi, to smutna jej pamięć zanadto jest głośną, abym miał potrzebę surowszemi ją jeszcze słowami potępiać, przyznać jednak należy, że nie dawała się ona uczuwać Hiszpanii tak dotkliwie, jakbyśmy to sobie dziś mogli wyobrażać. Ośmiowiekowa walka z niewiernemiza wiarę, takim urokiem otoczyła w oczach Hiszpanów, wszystkie stare formy religijne, tak przyzwyczaiła ich nieodróżniać kościoła od religii, rzeczy ludzkich od boskich, że wszelka reforma religijna była im wstrętną. Inkwizycyi zatym nie mieli potrzeby się lękać, była ona wymierzona głównie przeciw Maurom, których zmuszono siłą do przyjęcia religji chrześcijańskiej, a którzy wyznawali ją tylko pozornie, potajemnie zaś swoje dawne odprawiali obrzędy. Hiszpanie spoglądali na Inkwizycyją, jak na machinę bardzo groźną, ale pożyteczną i miłą Bogu.

W każdym razie była to potężna broń w rękach rządu i wiele się przyczyniała do tego, że despotyzm wzmagający się ciągle za Karola V, wrósł za następcy jego Filipa II, do olbrzymich rozmiarów. Zbierał się w prawdzie w pewnym oznaczonym czasie sejm hiszpański, zwany kortezami, ale najmniejszego wpływu na rządy kraju nie wywierał. Główną czynnością kortezów było zawotowanie podatków; dopiero potym wolno im było podawać petycyje do tronu, które były prostym życzeniem wcale nie obowiązującym rządu.

Arystokracyja hiszpańska złamana jeszcze za Ferdynanda nie mogła stawiać oporu despotyzmowi Filipa. Grandowie hiszpańscy z drugiej połowy XVI wieku nie byli podobni do przodków swoich przed stu laty. Z udzielnych prawie władzców zeszli na dworskich dygnitarzy; piastowali czcze tytuły, żadnej nie sprawiając władzy. Naśladowali pilnie dawne obyczaje i ceremonije, ale czynili to w sposób martwy. Dawny duch rycerski, który ich ożywiał, zamienił się w ceremonijalną sztywność i dawną apatyją, która ma osobną nazwę w języku hiszpańskim *sosiego*. Dawna duma, polegająca na świadomości własnych sił i zasług, przerodziła się teraz w niesłychaną arrogancyją, była płaszczem pod którym taiła się nicość moralna, niemoc polityczna i ciemnota. Sprzyjał tej arrogancyi jedyny przywilej, jaki pozostał grandom z dawnych czasów, a mianowicie, że mogli siedzieć w obec króla z nakrytemi głowami. Ale też tylko tę zabawkę zostawił im despotyzm.

Kiedy potomkowie najprzedniejszej części rycerstwa tak nędzną odgrywali rolę pod rządami despotycznych monarchów, przeciwnie stan średni, miejski, kupiecki i przemysłowy daleko żywiej i swobodniej się poruszał. Nie wpływał i on wprawdzie na sprawy polityczne, chociaż zasiadał w kortezach, ale też nigdy przdtym nie miał wielkich pretensyi do kierowania polityką kraju. Wyzwolony z pod przewagi arystokracyi mniej uczuwał gniotący ciężar despotyzmu. Korzystał z owoców bezpieczeństwa i spokoju publicznego, które najbardziej sprzyjały rozwojowi handlu i przemysłu. Nabierać przytym zaczął nowej siły, która miała być dla nowożytnych dziejów tym, czym było rycerstwo dla wieków średnich. Tą nową siłą była inteligencyja.

Nie wędrówki ludów, nie wielkie wojny, nie upadek państw potężnych, ani wzniesienie się nowych, ale wysiłki myśli ludzkiej, odkrycia i wynalazki, oddzielają wieki średnie od nowożytnych. One to przed zdziwioną ludzkością rozdarły zasłonę, kryjącą od wieków dalekie horyzonty; one to przypiąwszy ludzkości skrzydła porwały nieśmiało przedtym stąpającą do zuchwałego lotu. Ze wszystkich odkryć i wynalazków dwa najwięcej przyczyniły się do upadku rycerstwa i wyniesienia się inteligencyi. Są to proch i druk. Średniowieczny rycerz od stóp do głowy w stal zakuty był jakby twierdzą niezdobytą; łatwo mu było w strachu utrzymywać niepancerną hołotę, i długo mógł jeździć po świecie tysiące pchnięć i cięć odbierając, za nim się doczekał cięcia lub pchnięcia, któreby mu wszelki gust do awanturniczych wypraw odebrało. Teraz najnędzniejszy z pachołków, gdyby mu przyszła śmiałość i ochota, mógł siłą prochu dostać się przez wszystkie blachy do serca rycerza i zgładzić go, za nim ten spostrzegł niebezpieczeństwo. Proch jest straszną siłą, ale równie jak śmierć nie uznającą przywilejów. Wynalazek prochu był pociskiem, który ugodził rycerstwo w samo serce.

Druk jest tym dla myśli ludzkiej, czym koleje dla handlu. Możnaby powiedzieć nawet, że to on stworzył inteligencyją. Przed wynalezieniem druku była tylko garstka uczonych i tłum pozbawiony wszelkiej nauki. Do tego tłumu wchodzili tak dobrze królowie, dygnitarze i rycerze, jak prości rolnicy i rzemieślnicy. Pośredniej klasy pomiędzy uczonemi, zaciekającymi się w badaniach naukowych, a tłumem obojętnym na wszelkie kwestyje naukowe, nie było. Duchowieństwo wprawdzie odznaczało się pewnym wykształceniem, ale było to wykształcenie jednostronne, zastosowane do kościelnych i religijnych celów. Inteligencyi świeckiej nie było. Rzadko kto umiał czytać i nic dziwnego, bo z nauki tej nie było wielkiego pożytku, skoro rękopisy były nadzwyczaj drogim nabytkiem. Poezyja też, chcąc być popularną, wolała unosić się na ustach trubadurów, truwerów i żonglerów, niż pleśnieć na pargaminach, dostępnych małemu kołu czytelników.

Wynaleziono druk i wszystkie skarby myśli ludzkiej stanęły otworem dla wszystkich. Jak ponętną było teraz rzeczą pracować na polu umysłowym i pisać księgi, skoro piszący wiedział, że dzieło jego będzie czytanym w całym kraju, ba w całym świecie nawet, a imię jego znanym nie tylko przez kilku mnichów i uczonych, jak dawniej, ale przez cały ogół oświeceńszy. O ile łatwiej było pracować teraz na tym polu, skoro stawał się dostępnym dla każdego cały zasób wiedzy z takim trudem i mozołem przez wieki gromadzony a w nielicznych, często pojedynczych, rękopisach rozrzucony po całym świecie. Jak łatwo mógł sobie teraz dobrać każdy do czytania to, co odpowiadało jego zdolnościom, potrzebom, skłonnościom. Rzucono się więc z zapałem do czytania i pisania, a przewodniczył w tym ruchu stan średni, któremu dobrobyt pozwalał na oddawanie się umysłowym zajęciom a którego nie odciągało od nich marnotrawne życie, jakie wiódł stan wyższy.

W tych to czasach, kiedy rycerstwo coraz głębiej zapadało w ziemię, a druk nową siłę społeczną zaczął wywoływać z masy ciemnej, kiedy ludzkość poruszona tylu śmiałemi rzutami myśli ludzkiej, nowym zaczynała żyć życiem, w tych czasach, a mianowicie około połowy szesnastego wieku, urodził się Michał Cerwantes de Sacuedra twóca nieśmiertelnego Don Kiszota. Żywot jego, tak obfity w nadzwyczajne przygody, mógłby być

przedmiotem osobnego i bardzo zajmującego opracowania. Zadanie obecnego studyjum wymaga, abyśmy przedstawili ów żywot o tyle tylko, o ile się tu przydać może do lepszego zrozumienia, w jaki sposób mógł się pojawić Don Kiszot na ziemi hiszpańskiej. Cerwantes pochodził z rodziny szlacheckiej ale ubogiej. Bardzo wcześnie objawił się w dziecku popęd do poezyi i żądza wiedzy. Sam opowiada o sobie, że tak namiętnie lubił czytać, że gdzie tylko znalazł na ziemi jaki szpargał pisany czy drukowany natychmiast go podnosił i odczytywał. Odebrawszy początkowe wychowanie w rodzinnym mieście Allcata de Henares udał się na uniwersytet do Salamanki, gdzie zostawał przez dwa lata, a następnie do Madrytu gdzie uczył się pod kierownictwem słynnego humanisty Lopeza de Hoyos. Bawił wówczas w Madrycie nuncyjusz papieski a późniejszy kardynał Giulio Acquaviva, wielki miłośnik sztuk i nauk. Zwerbował on młodego Cerwantesa, który się już był odznaczył talentem poetyckim do swej służby i Cerwantes pojechał z prałatem do Włoch, jako jego pokojowiec (camarero). Ale prędko sprzykrzył mu się obowiązek, nieodpowiadający jego usposobieniu i popędom, wabiło go życie żołnierskie i niebawem zaciągnął się do hiszpańskich pułków stojących we Włoszech, znaczna część Włoch bowiem należała podówczas do króla hiszpańskiego. Hiszpanija w przymierzu z Papieżem i Wenecyją toczyła w owym czasie wojnę z Turkami. Cerwantes brał udział w tej wojnie jako prosty żołnierz i w rozmaitych bitwach złożył dowody nadzwyczajnego męztwa. W walnej bitwie morskiej pod Lepanto, mimo że osłabiony febrą, nie dał się usunąć od boju, i otrzymał kilka ran, z których jedna pozbawiła go używania lewej ręki na całe życie. Nie przeszkodziło mu to po wyleczeniu się brać dalszego udziału w wojnie. W wolnych chwilach zajmował się nauką włoskiego języka i literatury włoskiej, która w owym czasie nie mały wpływ wywierała na hiszpańską. Tu zaznajomił się z pasterską poezyją Włochów, którą potym naśladował w swojej Galatei, tu zapewne poznał także utwory Arjosta i Pulciego, które bodaj czy nie zrodziły w nim pierwszej myśli komicznego rycerskiego romansu. Zatęsknił wreście do ojczyzny, której od siedmiu lat nie widział, i postanowił powrócić do niej; ale nie tak prędko miał ją ujrzeć. Pewien berberyjski statek napadł na galerę, na której płynął Cerwantes i zdobywszy ją, wszystkich, którzy się na niej znajdowali uwiózł do Afryki, jako niewolników. Tu rozpoczyna się pięcioletni peryjod niewoli w życiu Cerwantesa, peryjod pełen nadzwyczajnych przygód, niesłychanych wytężeń, smutnych zawodów, wzniosłych przykładów szlachetności i poświęceń człowieka, który dowiódł w owych straszliwych próbach, że posiadał nie tylko jenjalny umysł ale i wielki charakter. Pięć czy sześć razy probował uciekać z niewoli,— nigdy sam, zawsze z towarzyszami niedoli — i zawsze nieszczęśliwy zbieg okoliczności, albo zdrada wydawała go w ręce okrutnych Berberów. Ale nigdy mimo największych groźb i pewnej śmierci, mimo iż raz miał stryczek na szyi — nigdy nie wydał wspólników zamiaru, a spokojna odwaga jego i szlachetność duszy dzikich nawet Berberów przejmowała szacunkiem dla niego. Wreście udało się zbiorowym staraniom rodziny i możnych przyjaciół Cerwantesa, którzy cenili wówczas w nim tylko dzielnego żołnierza, a nie jenjalnego pisarza, wykupić go za wielką summę z niewoli. Łatwo można sobie wyobrazić z jaką radością powracał Cerwantes do rodzinnej ziemi, której od dwunastu lat nieoglądał. Ale po radości przyszła naraz troska. Uboga rodzina Cerwantesa ostatni wysiłek zrobiwszy, aby go wydobyć z niewoli, jeszcze się uboższą stała. Potrzeba się jej było wywdzięczyć a przynajmniej niepodobna było żyć jej kosztem. Jako pisarz Cerwentes nie był jeszcze znany; jedynym jego rzemiosłem była żołnierka, więc choć już jej miał podostatkiem, przecież się jeszcze raz zaciągnął do wojska i brał udział w wyprawach do Portugalii.

Ale w trzy lata po powrocie na rodzinną ziemię t. j. 1583 r. a 36 roku życia porzucił Cerwantes ostatecznie oręż, aby się wziąść do pióra i w tymże roku ukończył pasterski romans Galateę, pierwsze dzieło jego, które na świat wyszło. Następnego roku ożenił się i zamieszkał koło Madrytu. Położenie jego majątkowe pogorszyło się jeszcze teraz, kiedy miał większe obowiązki; prócz siebie i żony utrzymywał dwie siostry i córkę z pobocznego małżeństwa. Ażeby nastarczyć na utrzymanie tej gromadki, rzucił się Cerwantes do pisania sztuk dramatycznych, które ze wszystkich rodzajów poezyi najpopłatniejszym były podówczas towarem literackim. A nie sama potrzeba skłoniła go do formy dramatycznej; miał on od dzieciństwa popęd do dramatu; mimo iż nie dramat miał rozsławić po wieki jego imię. Ale nie umiał on tak szybko pisać dramatów i komedyj, jak to czynił wkrótce potym Lopez de Vega, współzawodnik jego na polu dramatycznym, który w przeciągu 24 godzin wygotowywał sztukę o kilku tysiącach wierszy. Nie umiał też Cerwantes w swoich utworach dramatycznych zastosować się do smaku publiczności i nie zjednał sobie na tym polu takiej popularności jak ten sam świetny i płodny Lopez, który go zaćmił niebawem; kiedy zaś potym starał się Cerwentes zastosować do wymagań hiszpańskiego ludowego teatru i naśladował Lopeza, utwory jego dramatyczne z tego czasu tak małą miały wartość, że nie znalazły nigdzie poklasku. Dość że dramat nie był polem, na którym mógłby się Cerwantes dorobić pieniędzy i sławy.

O wojennych zasługach poety zapomniano, jego bohaterskie męztwo, rany, kalectwo, niewola, wszystko to poszło w niepamięć. A tymczasem potrzeba było rodzinną gromadkę odziewać i nakarmiać. Nie przebierał więc Cerwantes w posadach, wziął tę która mu się nastręczała, wiedząc że człowiek w spóźnionym już wieku i kalectwem obciążony nie łatwo może znaleść korzystne miejsce. Tą posadą był podrzędny urząd przy komisoryjacie zaopatrującym w żywność flotę indyjską. Urząd był chwilowy dano mu potym w zamian miejsce poborcy podatków w kilku miastach samego królestwa Grenady. Szczególnie ta druga posada była wręcz sprzeczną z popędami i usposobieniami Cerwantesa. Dodany mu do pomocy urzędnik popełnił jakąś omyłkę w rachunkach; zwalono winę na Cerwantesa, obwinionego o oszustwo, uwięziono i dopiero po długim i bolesnym śledztwie wyszła na jaw zupełna niewinność biednego poborcy. Co porabiał Cerwentas przez pięć lat następnych to jest od r. 1598 do 1603 nie mamy o tym pewnych wiadomości; w każdym razie los jego nie był świetniejszy jak przedtym, i zapewne oddawał się zatrudnieniom podobnym do poprzednich, nie zaniedbując jednak, o ile mu czas na to pozwalał i prac literackich. Na ten czas przypada podróż do prowincyi La Mansza, ważna z tego względu że tam podług powszechnego mniemania komentatorów poety, miał Cerwantes nakreślić plan pierwszej części Don Kiszota, a nawet w części go wykonać. W małej mieścinie Argamašilla spotkała go nie miła przygoda. Niewiadomo po co się tam udał Cerwantes, czy jako poborca dziesięcin klasztorowych, jak jedni utrzymują, czy dla poczynienia przygotowań do założenia prochowego składu, jak chcą inni; dość że wskutek jakiegoś nieporozumienia oburzona na Cerwantesa ludność miejscowa chwyciła go i osadziła w więzieniu. Dziś jeszcze pokazują w Argamašilla tak zwany, „dom Medrama“ gdzie siedział uwięziony poeta i gdzie jak jest powszechne mniemanie rozpoczął nieśmiertelnego Don Kiszota. Przypuszczają nawet, że Cerwantes dla tego umieścił bohatera swego w prowincyi La Manszy, że chciał się tym sposobem zemścić na niegościnnych jej mieszkańcach.

W r. 1605 wyszła na świat pierwsza część Don Kiszota i musiała mieć od razu wielkie powodzenie kiedy w jednym i tym samym roku czterech się doczekała wydań. Nie oceniono zapewne odrazu doniosłości tej potężnej kreacyi ale humor dobry i tryskający z każdego jej ustępu porywał i zachwycał wszystkich.

Opowiadają że panujący wówczas w Hiszpanii król Filip III, stojąc pewnego razu na balkonie pałacu swego w Madrycie, ujrzał jak w dali nad brzegiem rzeki Manzanares chodził student jakiś z książką w ręku i od chwili do chwili wyrażał ruchami całego ciała niezwykłe zadowolenie. Przypatrzywszy się pilnie temu zjawisku powiedział król do stojących obok dworzan: „Ten człowiek albo waryjat albo czyta Don Kiszota.“ Dworacy dogadzając chęci pana pobiegli natychmiast dowiedzieć się co jest powodem nadzwyczajnych oznak zadowolenia, i okazało się, że w istocie student czytał Don Kiszota.

Ze wzrostem sławy poprawił się i materyjalny byt Cerwantesa. Arcy-Biskup z Toledo i hrabia Lemos godnie oceniając jenjusz poety, starali się przynajmniej starość jego ochronić od przykrości niedostatku. Przecież arcydzieło Cerwantesa wywołując powszechne uwielbienie, wywoływało i zawiść. Znalazł się niegodziwiec, niepozbawiony z resztą talentu, który dorobił drugą część Don Kiszota, ale na to tylko, aby w niej wyszydzić starość, kalectwo i ubóstwo nieśmiertelnego pisarza. Kto wie jednak czy to właśnie niepobudziło Cerwantesa do napisania a przynajmniej do spieszniejszego wykończenia drugiej części Don Kiszota, jeszcze świetniejszej i doskonalszej od pierwszej. A spieszyć mu się należało, bo w kilka miesięcy po wydaniu drugiej części śmiertelnie zachorował i w parę tygodni potym umarł 22 kwietnia w 69 roku życia, 1616 r. Trudno mi pominąć jeszcze tę okoliczność, że tak los zdawał się prześladować Cerwantesa nawet i po śmierci. Zwłoki jego złożono w kościele mniszek Trynitarskich, jedna z których była jedyna córka jego Donna Izabel; w siedmnaście lat potym klasztor przeniesiono gdzieindziej, i dziś niewiadomo wcale gdzie spoczywają popioły największego mistrza Hiszpanii.

Wiemy tedy w jakich czasach i przez jakiego człowieka napisany był Don Kiszot; pozostaje nam teraz ocenić sam utwór.

Któż nie zna Don Kiszota? jego rycerskiego obłędu, jego idealnej miłości do brudnej karczmarki, którą wyobraźnia rycerza przekształciła w księżniczkę najpiękniejszej urody któż się nie śmiał serdecznie czytając opis jego błędnych wypraw, jego walk z wiatrakami, i tysiącznych przygód, w których żadne najboleśniejsze zawody niezdołały wyrwać rycerza z fantastycznego świata, jakim się otoczył? Któż nie uwielbiał gminnej naiwności Sanszy, i nie kładł się od śmiechu przy bolesnych cięgach, jakie się giermkowi dostawały w zamian za przyobiecaną mu przez pana wyspę. A jednak nie wiele zapewne czytało uważnie ten utwór od początku do końca, nie

wiele objęło myślą ogromu tej wspaniałej kreacyi, a jeszcze mniej zapewne uchylało wesołą zasłonę śmiechu, aby się przypatrzeć groźnej trajedyi, jaka się po za nią odgrywa.

d. n.

Korespondencyja Opiekuna Domowego.

Wiedeń dnia 25 Października 1874 r.

(Dokończenie).

Kwintessencyja życia duchowego madyjaryzmu koncentruje się najprzód w narodowym teatrze, który pomimo znacznej subwencyi, i wielkich wysileń choruje wciąż nie na brak publiki, lecz na suchoty treści i sztuki. Wprawdzie trzeba przyznać, iż i nie lepiej wiedzie się peszteńskiemu teatrowi niemieckiemu, który w ciąż robi bokami, i u którego bankructwo dyrektorów przeszło w stan chroniczny. Drugim z kolei i najgłówniejszym objawem życia jest madyjarskie dziennikarstwo i oracyje, które się prawią nie tylko na sejmie, nie tylko przy publicznych zgromadzeniach, lecz przy wszelkiej sposobności, wszędzie i o każdej porze, gdy trzech madyjarów zejdzie się razem, a im takie mowy dłuższe, tym większy podziw wzbudza mówca. Trzeba znać język madyjarski, aby przekonać się ile w tym dziennikarstwie i publicznych mowach frazeologii, napuszystości, i czczości, do których sama natura języka podaje szerokie pole. Może być iż madyjarzy przetrwają kryzys ekonomiczną obecną, iż zwrócą się do pożyteczniejszej i płodniejszej pracy jak górnolotne zachcianki supremacyi politycznej, gdyż nie brak im praktycznego zmysłu politycznego, karności w podporządkowaniu prywaty ogólnym interesom, i zręczności w korzystaniu z okoliczności, lecz pewnikiem jest iż żniwo ich na polu wiedzy i sztuki nie będzie nigdy kopne ani namłotne, i że przeciwnie światła jakie pragną rzucać na kraje Dolnego Dunaju nie wiele się różnią od zakopconego kaganka.

Przechodząc nareszcie do uprzywilejowanych „Kulturträgerów“ którzy pomimo konstytucyi i strasznego liberalizmu tak dobrze panują dziś w Austryi i według tegoż systematu, jak panowali od trzech wieków, z tą tylką różnicą iż znany austryjacki dawniejszy biurowy „cwancygier“ lub „szpycel“ przemienił się dziś ze zmianą wiatru, na zapamiętałego liberała, to tylko można powiedzieć, iż w niczym się nie różnią od innych niemców. Chęci te same, tylko siły nie ma po temu. Napływowy ten żywioł stracił jednakże wiele swych cech charakterystycznych, przyswoił zaś sobie wiele przymiotów wcale nie niemieckich jak np. bajeczną lekkomyślność i zadziwiającą ignorancyję. Nie mając po za sobą żadnych tradycyj, odpychając z jaśniewielmożnym lekceważeniem wszelkie obce doświadczanie i naukę, nie dziw iż mu się wszystko nowym przez siebie samego wymyślonym wydaje o czym inni od wieków już i daleko lepiej wiedzieli, i co krok potyka się i uderza nosem o takie zawady, których tylko chyba ślepy nie dojrzy. Pomimo swych pretensyj do wszech mądrości, wiedeńczyk niecierpi wszystkiego co trąci nauką na seryjo, i jest deklarowanym przeciwnikiem sztuki Guttenberga. Stąd w Wiedniu nie tylko niezmiernie mało drukuje się nowych dzieł, ale jeszcze mniej czyta; cały rozum czerpie się z gazety, której treść uchodzi za ewangeliczną prawdę, i stanowi publiczną opiniję ludzi nie mających rzeczywiście żadnej opinii. Że zaś dziennikarstwa chwyta się tylko ten, który nie zdolny do żadnej innej pracy, i nic nie umiejąc nic też wyświecić nie może, przeto cechą tutejszego dziennikarstwa i w parze z nim idącej opinii publicznej niekonsekwencyja bez granic i bajeczna ignorancyja. Kłamstwo świadome i sensacyjne wiadomości obrachowane bądź co bądź na efekt,są treścią codzienną dzienników, a gdy tak jie sztuczne potrawy gdzie indziej oddawna się przejadły tu, przypadają wyłącznie do smaku, psują do reszty i tak już strupieszałe społeczeństwo. Oddziaływa to na wszystkie objawy tak publicznego jak prywatnego życia, i jest przyczyną wszystkich ekonomicznych i politycznych niepowodzeń. Na kłamstwie nic trwałego zbudować niemożna, gdy zaś od góry do dołu okłamywanie się wzajemne stało się treścią istnienia, gdy każdy żyje nad stan, chce być czymś czym nie jest, wygląda cudów z nieba, i wyjątkowych dla siebie praw a przy tym każdego ma za głupszego od siebie, więc ciągłe niepowodzenia i katastrofy są nieuchronne.

Kryzys finansowa, bynajmniej niezamknięta lecz obejmująca coraz dalsze koła, *fiasco* wystawy powszechnej i t. d. powinny były otworzyć oczy ogółowi, ale gdzie tam, wszystko idzie po staremu, i wiedeńczyk ma się zawsze za jakąś uprzywilejowaną istotę. Każdemu zdaje się iż powinien zostać milijonerem,— ale oczywiście bez pracy. Skargi nieustanne na upadek handlu, przemysłu, a nawet rzemiosł,— ale co temu przyczyną jeżeli nie sami przemysłowcy? Towar austryjacki na żadnym targu konkurencyi wytrzymać nie może, gdyż za drogi, więc nie wychodzi za granicę, a obcy kupiec staje się z dniem każdym rzadszym w Wiednia, który stawszy się najdroższym miastem w Europie, nie daje nic w zamian przybywającemu. Jeżeli ktoś przypadkiem zamówi parę butów u szewca który od kilku tygodni nie miał roboty, to tenże szewc nie zasiada do kopyta, lecz idzie zaraz na główną ulicę miasta oglądać dom który zamierza kupić, budując zaraz na tej jednej obstalowanej parze butów cały gmach przyszłej fortuny. Jeżeli ktoś zajdzie do restauracyi, nie podadzą mu to co chce, lecz to co pan właściciel uzna za stosowne, i dobrze jeszcze jeżeli nie zostanie złajanym przez kelnera, gdyż i to się zdarza, za to że zrobił uwagę jako ceny bajecznie drogie, ale za to jadło liche. W całym mieście nie znajdzie już prawie wina niefałszowanego, towaru innego jak tandetę, sukni innych jak rozlatujących się w strzępy po kilku dniach noszenia. Wszystko obrachowane na to, iż kupujący jest głupszym od sprzedającego, a pan fabrykant czy majster narzeka na złe czasy, siedząc za stołem w szynku i popijając kufel za kuflem, gdy tymczasem jejmość i córki wystrojone jak księżniczki, szukają pewnych nie zupełnie bezinteresownych zadowoleń próżności. Przy takim usposobieniu ogółu nie dziw iż ubóstwo szerzy się i przybiera olbrzymie rozmiary, a statystyka morderstw, grabieży, przeniewierzeń i samobójstw, przechodzi statystykę wszytkich innych miast europejskich. Wszystko tu uchodzi, wszystko dozwolone, gdyż najwyższy szacunek otacza złodzieja, byleby umiał kraść zręcznie — jedno tylko nie popłaca, a tym jest praca. Ta już od dawna poszła w poniewierkę i zostawia się wzgardzonym i sponiewieranym moralnie słowiańskim robotnikom.

Oczywiście iż przesada na każdym kroku i w każdym objawie publicznym jest od tego społeczeństwa nierozdzielna. Wszystko się podnosi lub, poniża według usposobienia chwili, a zawsze nad miarę. Dosadnym tego dowodem był niedawny powrót uczestników podbiegunowej wyprawy. Gdyby nowy Columb odkrył nową Amerykę, niemógłby dostąpić większych owacyj od tych żeglarzy, którym po miesięcznych ucztach i na ich cześć wydawanych festynach, nareście samym wywróciło się w głowie i zdaje się iż są wielkimi ludźmi. Tymczasem wyprawa ta tyle przyniosła, co i inne podbiegunowe wyprawy. Kiedy już koniecznie chciało się Wiedeńczykom wyjść na pole naukowych badań, mieli do tego daleko wdzięczniejsze i płodniejsze pole czy to w Afryce czy w Azyi środkowej czy też nareszcie już, jeżeli ich północ tak wabiła, u bieguna południowego, który dotąd tak mało znany, nie zaś u północnego bieguna, gdzie po prostu nie ma już co robić po rozwiązaniu dwóch głównych zadań naukowych, oznaczeniu magnetycznego bieguna, i skonstatowaniu przejazdu zachodnio-północnego.

To też narody, którym na badaniu północy daleko więcej zależało aniżeli Wiedeńczykom, Anglicy, Amerykanie, Rosyjanie, zaniechali całkiem od lat kilkunastu owych niebezpiecznych, a w niczym nie przysparzających nauki podróży. Bo czy tam ktoś jednę bryłę zmarzniętej ziemi odkryje więcej lub nie, w niczym to nie zmienia jeograficznych warunków i nie ma co szukać tam, gdzie dawniejsi wszystko co było do odkrycia już odkryli; a że do bieguna samego dostać się nie można, wiadomo od dawna. Ale dla Wiedeńczyka, który nic nie umie i nic nigdy nie czytał, imiona: Parry, Ross, Franklin, Macllare i t. d. nie istnieją i zdawało im się, że biegun północny dla tego tylko zachował swą dziewiczość, aby go odkrył wiedeńczyk. I wyprawiono ogromnym kosztem wyprawę, który można było użyć na coś pożyteczniejszego i po trzech letniej podróży powrócili uczestnicy po nie słychanych znojach, to dokazawszy co było do przewidzenia naprzód, iż jakieś nowe kupy lodów i wiecznego śniegu odkryli i wzgórza przez lunetę widzieli, które mają się znajdować pod 83 stopniem szerokości północnej. Za poniesione trudy i wytrwałość, należała się nagroda, ale takie owacyje, jakich ani Franklin, ani Livingstone, ani Barth nigdy nie doznał, to nieco za wiele. Cóż pozostanie dla prawdziwej zasługi? Ale wiedeńczyk oto niedba, on się wykrzyczał i wyhuczał przy wiwatach, nie na cześć śmiałych podróżników, ale dla tego, że to niemcy i specyjalnie wiedeńczycy. Oto tylko chodziło, o demonstracyją, nie zaś o prawdziwe zamiłowanie nauki. Jak zaś wiedeńczyk pojmuje sztukę, powie się inną razą.

MEDYCYNA DOMOWA.

W Wiedomostiach St. Petersb. Gradonacz. ogłoszony został przez doktora Wakułowskiego szereg doświadczeń, przekonywających o dobroczynnym działaniu wody zimnej przy oparzeliznach. Doświadczenia te mianowicie przekonywają, że najstraszniejsze oparzenia całego ciała nie pociągały za sobą śmierci, dzięki temu jedynie, że tym, którzy ulegli takowym, udzieloną została natychmiast pomoc, zawierająca się w zimnej kąpieli, albo w owijaniu w mokre zimne prześcieradła, lub w przykładaniu na oparzone miejsca kompresów ochładzających. Używanie któregokolwiek z tych rodzajów pomocy, dr. Wakułowski radzi zastosowywać dopóty, dopóki nie ustaną bóle piekące. I tak, pewien podoficer, oparzony od stóp do głowy, przy eksplozyi prochu, był obwijany w mokre prześcieradła, bezustannie zmieniane w miarę zagrzewania się, w ciągu 16 godzin; następnie pewna dama, oparzona samowarem, który się na nią wywrócił, była trzymana w wannie przeszło dobę. Po ustaniu bólów palących, rozpoczęte zostało w tych wypadkach, naturalnie, leczenie racyjonalne, przy pomocy którego chorzy zupełnie wyzdrowieli. Nie będzie zbytecznym przytoczyć tu wszystko co powiada Dr. Waku-

łowski w konkluzyi opisanych przez niego prób użycia wody, jako pierwiastkowej pomocy przy oparzeniach:

„Jakikolwiek by był stopień oparzenia, zimno, zastosowywane w formie zimnych kompresów, zimnych powijań w mokre prześcieradła, jest i będzie zawsze najpewniejszym, najlepszym i jedynym środkiem w wypadku oparzenia. Nic nie może tak dobroczynnie, w pierwszych chwilach oparzenia, wpływać na zgubne często następstwa takowego, jak woda zimna. Prawie w jednej chwili, a w każdym razie lepiej od wszelkich innych środków odejmuje ona ból po oparzeliznie, ogranicza następujące zapalenie, uśmierza gorączkę, orzeźwia oparzonego, uspokaja od niezbędnego przestrachu i wstrząśnienia nerwów. W wielu wypadkach, oprócz kompresów zimnych, nic już nie bywa potrzebne przy oparzeniach. Zaciąganie się naskórka i skóry na miejscach oparzonych, pod kompresami odbywa się szybko i prawidłowo. Przemiana kompresów zawsze jest wygodna i łatwa, woda zimna wszędzie się znajdzie. Przytym lekarzowi, wezwanemu do dotkniętego oparzeniem, przy wszelakim stopniu takowego, będzie daleko dogodniej obejrzeć chorego, skoro zastosowane były tylko zimne kompresy, łatwe do zdejmowania i nie wzmagające cierpień chorych.

„Poczytuję za niezbędne dodać dla wiadomości publicznej, że następne leczenie ważnych oparzeń powinno być koniecznie pozostawione lekarzowi, który w swej nauce i doświadczeniu znajdzie zawsze racyjonalny sposób postępowania na korzyść i wyleczenie swego pacyjenta. Należy pamiętać, że pozostawione przez znaczne sparzenia rany zarastają się i goją powolnie. Przy leczeniu empirycznym, bez nadzoru i rady lekarza, rany te często przybierają przebieg niopomyślny, który częstokroć kończy się śmiercią w takich wypadkach, kiedy przeminęło zupełnie pierwsze niebezpieczeństwo z oparzenia i kiedy już utrzymaniu życia widocznie nie zagrażało najmniejsze niebezpieczeństwo. Z. W.

Od Redakcyi:

W roku przyszłym 1875, Opiekun Domowy, pismo dla Rodzin, wychodzić będzie co Czwartek w podwójnej objętości, to jest każdy Numer składać się będzie zamiast jak dotąd z 8-u, z 16 stronic, zamiast z 24, z 48 szpalt pisma.

Opiekun Domowy w r. 1875 pomieszczać będzie:

1) *Artykuły wstępne.*
2) Poezyje.
3) Praktyczne rady pedagogiczne i higieniczne.
4) Opowiadania i gawędy naukowe.
5) Obrazy wspomnienia i szkice historyczne.
6) Korespondencyje z kraju i zagranicy—Podróże.
7) Kronikę zagraniczną.
8) Sprawozdania ze wszystkich nowych książek polskich.
9) Artykuły tyczące się gospodarstwa i przemysłu domowego.
10) Przegląd ubiorów.
11) Najpraktyczniejsze środki lekarskie (medycyna domowa).
12) Zagadnienia z pedagogiki.
13) Wzory lekcyj z nauk specyjalnych.
14) Nowiny krajowe i zagraniczne.
15) Sprawozdania teatralne.
16) Ślady życia, felijeton obejmujący sprawozdania krytyczne ze wszelkich objawów życia w kraju.
17) Ogłoszenia mające na celu ułatwienie pośrednictwa w doborze nauczycieli, korepetytorów, bon i guwernantek, a także rozpowszechnianie wiadomości o książkach i pismach, o szkołach i stancyjach i w ogóle o wszelkich faktach mających związek z potrzebami rodziny.

Nadto w każdym Numerze znajdować się będą dwie powieści o r y g i n a l n a i t ł o m a c z o n a, do którego to działu wybierać będziemy najciekawsze i wyjątkowej tylko wartości utwory. Zaraz w 1-m Numerze r. p. rozpoczniemy:

Z powieści oryginalnych: wyborną powieść humorystyczną P. Lucyjana Faleńskiego *„Świetne widoki pani Marcinowej“* z i l u s t r a c y j a m i P. F r a n c i s z k a K o s t r z e w s k i e g o, poczym damy natychmiast oryginalną powieść J. I. Kraszewskiego.

Z powieści tłomaczonych: niesłychanie zajmującą powieść Meine Reide'a (Majn Rida) ze stepów amerykańskich, p. t. *„Za wojennym śladem.“*

Od 1-o także zaraz Numeru, rozpoczniemy cenną pracę znanego badacza Jana ze Śliwina p. t. *Zarysy z dziejów Litwy i Rusi,* w której autor przebiegając kraj cały t. j. 9 gubernij zachodnich Cesarstwa obejmuje wspomnienia dziejowe, stan dzisiejszy i podaje jednocześnie zarysy statystyczne ekonomiczne, etnograficzne, archeologiczne i t. p.

Przedpłata Opiekuna Domowego wynosi:

w Warszawie z odnoszeniem do domu

rocznie . . .	rs. 6.	
półrocznie . .	„ 3.	
kwartalnie . .	„ 1 kop.	50.
miesięcznie . .	„ — „	50.

Na prowincyi i w Cesarstwie z opakowaniem i przesyłką:

rocznie	rs. 8.
półrocznie	„ 4.
kwartalnie	„ 2.

Prenumerować można we wszystkich księgarniach i kantorach pism peryjodycznych, z prowincyi *najlepiej* jednak zgłaszać się wprost do Redakcyi (Nowy Świat Nr. 30 nowy).

ODPOWIEDZI.

P. *Prenum.* w Małogoszczu. Nr. 31 i dokończenie powieści Teofanija Abbiagio wysłaliśmy powtórnie. Prosimy o zwrot Emancypowanej, a wyślemy zaraz „Pasierbicę.“

P. *Markiew...* w Denhofce. Nr. 31 powtórnie posyłamy.

P. *Rubińsk...* w Chersonie. Nr. 21 i 37 oraz dokończenie powieści Teofanija Abbiagio powtórnie posyłamy. Z biblij. pedag. wysłaliśmy tomów 7, wkrótce dalsze tomy poślemy. *Katechizm* R. Rzewuskiego z przesyłką kop. 35, *Kurs kroju sukien* Thirifoga z przesyłką kop. 50. W słusznym interesie Szan. Pana zgłaszaliśmy się kilkakrotnie do wiadomej Redakcyi. Skoro nie udało nam się pomódz Panu na tej drodze, chętnie możemy pomieścić w Opiekunie reklamacyją Sz. Pana.

Ks. *Fr. Masł...* w Nowym Mieście Korczynie. Upraszamy o nadesłanie prenumeraty, a wszystko wyślemy natychmiast.

P. *Poniatow...* w Piatigorsku. Wkrótce dalsze tomy wyślemy, zwłoka nie z naszej pochodzi winy.

P. *H. Lutz...* w Mazowiecku. Dokończenie powieści Teofanija Abbiagio wysłaliśmy powtórnie przy Nr. 41. Obecnie posyłamy po raz 3.

P. *B. Zwolin...* w Krasnymstawie. Powieść „Emancypowane“ posyłamy.

P. *Tomaszew...* w Disnie. Braki żądane powtórnie posyłamy.

P. *A. Giżyckie...* w Swiażce (Gub. Kazańskiej). Raz jeszcze zakomunikujemy słuszne żądanie pańskie wydawcy p. Kaufmana i dopilnujemy skutku.

P. *E. Gran...* w Winnicy. Wkrótce odeślemy,

PP. prenumeratorom dzieła „W y s t a w a W i e d e ń s k a i l u s t r o w a n a“ nakład Józefa Kaufmana księgarza. Przez pośrednictwo nasze zaprenumerowało kilkadziesiąt osób wystawę wspomnioną. Pieniądze wnieśliśmy bezzwłocznie i mamy na to pokwitowanie P. Kaufmana. Liczne reklamacyje jakie odbieramy komunikujemy P. Wydawcy. Aby raz skończyć z tą wcale niefortunną sprawą, odniesiemy się ostatecznie do do P. Kaufmana z zażądaniem zwrotu pieniędzy za nie wydane poszyty

---

Дозволено Цензурою.—W drukarni E. Skiwskiego,—Warszawa, Elektoralna, Nr. 758 (nowy) 28.

Redaktor i Wydawca Henryk Perzyński.